



R Dziedzictwo dawnej Rzeczypospolitej

Dodatek edukacyjny dla dzieci i młodzieży w ramach Magazynu Historycznego „Mówią wieki” o dziedzictwie kulturowym dawnej Rzeczypospolitej

Za króla Sasa

„Za króla Sasa, jedz, pij i popuszczaj pasa” – mówiono dawniej. Powiedzenie to zawiera tyle prawdy, ile uproszczeń. Za obu saskich Augustów piło się dużo, z zastrzeżeniem, że Wettyn zwany Mocnym odznaczał się tęgim spustem, zaś jego syn brzuszykiem będącym efektem wielkiego apetytu. Dla potomnych okres ich panowania, z interwałem króla Stanisława Leszczyńskiego, późniejszego filozofa z Lotaryngii, to czas upadku, ustawicznej anarchii, zrywanych sejmów, sejmików, a nawet sądowych trybunałów. I nie można temu zaprzeczyć. Anarchizacja życia politycznego osiągnęła apogeum, kontrast ze wzrostem sąsiednich potęg był aż nadto widoczny. Rzeczpospolita ze swoim niedowładem państwa jawiła się jako anachroniczna konstrukcja w porównaniu z prężnymi machinami coraz bardziej zaborczych monarchii. Polskiej szlachcie, przywiązanej do tyranii złotej wolności, to jednak nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie – niejeden wąsaty szlachcic uważał, że to właśnie słabość państwa jest gwarantem jego trwałości. I choć z rozrzewnieniem wspomiano przewagi nad bisurmanami, to pacyfizm i prawie całkowite rozbrojenie uważano na cnotę, która obroni przed zakusami sąsiadów. Ci zaś, na razie przynajmniej, traktowali Rzeczpospolitą jako karczmę zajezdną. Wielu zapomniało o niszczycielskich wojnach Augusta II; zapamiętano za to względny dobrobyt panujący za jego następcy, kontrastujący zwłaszcza z dramatycznymi wydarzeniami, jakie miały miejsce za czasów ostatniego polskiego władcy Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Czasy saskie to kwintesencja polskiego sarmatyzmu, z wszelkimi jego pozytywnymi i (a może przede wszystkim) negatywnymi objawami. Jednak te czasy dały podwaliny pod oświeceniowe poglądy, które ruszyły mocnym strumieniem w drugiej połowie XVIII wieku. Ich prekursorzy usilnie pracowali nad planem przebudowy i chociaż ich głos nie był jeszcze mocno słyszalny, to skutki ich działań okazały się nie do przecenienia. Mówiąc o czasach stanisławowskich, należy pamiętać o epoce saskiej, bez której tak trudno zrozumieć dalsze losy Polski i kulturowy spadek po niej.

Wojciech Kalwat

Projekt dofinansowano ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu Promocja literatury i czytelnictwa – Czasopisma



Spis treści

Dariusz Milewski, Koń jaki jest, każdy widzi, czyli saskie ostatki	II
Michał Kopczyński, Portret trumienny	VI
Jarosław Dumanowski, Dziedzictwo kuchni stropolskiej	VIII
Bartłomiej Gutowski, Nowe prądy w sztuce	IX
Dariusz Milewski, Dziedzictwo sarmackie: pańska Polska	XIII
Wojciech Kalwat, Kalendarze. Zbiór sciencyi	XIV
Anna Straszewska, Sarmacka moda, stroje, toaleta	XV

Koń jaki jest, każdy widzi, czyli saskie ostatki

Panowanie Wettynów – Augusta II Mocnego i jego syna Augusta III – w latach 1697–1763 przeszło do historii Rzeczypospolitej pod nazwą epoki saskiej. Jak chyba żaden inny okres w przedrozbiorowych dziejach Polski i Litwy epoka ta jest powszechnie krytykowana. Nieliczni, którzy wskazują na pozytywne elementy rządów obu Augustów, czynią to raczej w kontekście przygotowania kraju do zmian czasów stanisławowskich.

Panowanie Sasów jawi się jako okres upadku, anarchii i ogólnego rozkładu struktur państwowych. Jednocześnie twórcy pomnikowego dzieła naprawy Rzeczypospolitej, jakim była Konstytucja 3 maja, ustanawiając monarchię dziedziczną, przekazali tron właśnie saskim Wettynom. Typowany wówczas na następcę Stanisława Augusta książę Fryderyk August III, wnuk Augusta III, nie zdołał co prawda zasiąść na polskim tronie, ale w 1807 roku został władcą odbudowanego państwa jako książę warszawski. No i zapisał się raczej pozytywnie w naszej historii. Czyżbyśmy zatem zbyt jednoznacznie potępiali rządy Wettynów? Co takiego działo się wówczas w Polsce

i jakie dziedzictwo pozostawili nam Sasi? Czy bliżej nam do saskich Sarmatów czy do stanisławowskich ludzi oświecenia?

Rządy Sasów możemy wyraźnie podzielić na dwie części, które nie pokrywają się z panowaniem Augusta II i Augusta III. Okres pierwszy to czas wielkiej wojny północnej, zakończonej na naszych ziemiach reformami sejmu niemego w 1717 roku. Bez przesady możemy powiedzieć, że wtedy rozstrzygnęły się przyszłe losy państwa, choć współcześni tego nie dostrzegali. August II, który zastał Rzeczpospolitą w stanie głębokiego kryzysu, był zarazem ostatnim władcą, który został suwerennie wybrany przez swych polsko-litewskich poddanych. Kraj

na dal odcinał kupony od zwycięstw Jana III i mógł uchodzić za państwo, z którym należało się liczyć. Jednak szybko okazało się, że to przekonanie o potęgze było złudne. Udział w wojnie przeciw Szwecji w koalicji z Rosją Piotra I zakończył się katastrofą. Szwedzi zalali Rzeczpospolitą i narzucili jej marionetkowego władcę – Stanisława Leszczyńskiego. Sprzymierzeni Rosjanie wzięli się zatem do „wyzwalania” Polski, łupiąc ją przy tym niemiłosiernie; nie ustępowali pod tym względem Szwed-



Mapa Rzeczypospolitej w 1704 roku, fot. archiwum „Mówią wieki”



Wettyni na tronie Rzeczypospolitej: August II Mocny (z lewej) i August III (z prawej), fot. archiwum „Mówią wieki”

dom, formalnie też sojusznikom, tyle że króla Stanisława. Pod naciskiem wroga August II musiał abdykować w 1706 roku i był to niechlubny precedens (Jan Kazimierz przed Szwedami uciekł, ale korony się nie zrzekł). Większość narodu szlacheckiego okazała się wtedy na tyle przytomna, że mimo abdykacji Sasa nie uznała Leszczyńskiego i skupiła się wokół konfederacji sandomierskiej. Deliberacje na temat wyboru nowego króla przerwało decydujące zwycięstwo Rosjan nad Szwedami pod Połtawą w 1709 roku. August II jak gdyby nigdy nic wrócił ze swymi Sasami do Polski, a Leszczyński uciekł przed nim jak niepyszny, nie próbując nawet stawić poważniejszego oporu.

CAR ROZDAJE KARTY

Wydawać by się zatem mogło, że sytuacja wróciła do normy. Sas powołał się na zapisy konstytucji zakazującej królowi abdykacji (prawo to uchwalono po rezygnacji z tronu Jana Kazimierza) i uznał swój akt z 1706 roku za nieważny. Zebrana w 1710 roku Walna Rada Warszawska – zjazd senatorów i szlachty – potwierdziła ten stan rzeczy. Leszczyńskiego potraktowano zatem jako antykróla, a i on sam poniekąd zgodził się z tym, pozwalając się znów wybrać szlachcie w 1733 roku. Problem jednak leżał w czym innym – August II nie zawdzięczał powrotu na tron własnej przemyślności i sukcesom sasko-sandomierskiego oręża, ale zwycięstwu Piotra I nad Szwedami. Pozycja polskiego króla była zatem zdecydowanie słabsza niż przed 1706 rokiem – faktycznie był on dłużnikiem Rosjan. A długi wypada spłacać.

Sas nie zamierzał tego robić i trudno go za to winić. Chcąc uzyskać niezależną pozycję wobec Piotra I, wziął

się do umacniania swej władzy w Polsce przy pomocy wojsk saskich. Dla rozmiłowanych w wolności Sarmatów było to nie do przyjęcia. Doszło zatem to zawiązania antykrólewskiej konfederacji tarnogrodzkiej, a zatem do nowej wojny domowej; rozjemcą ogłosił się car. Pod jego dyktando rzeczywiście doszło do pacyfikacji, utwierdzonej uchwałami sejmu niemego. Była to już oznaka jawnej przewagi rosyjskiej nad Polską, czego król nie mógł ścierpieć. Rzucił się zatem w ramiona Habsburgów, snując plany wielkiej koalicji antyrosyjskiej. Do wojny nie doszło, bowiem szlachta zadowolona się wycofaniem się Rosjan z Rzeczypospolitej. Urażony Piotr I odmówił w rewanżu Polsce prawa do udziału w łupach na pokonanej Szwecji i wszystko zagarnął dla siebie. Polska z wojny północnej wyszła więc z pustymi rękami, znów spustoszona, ale formalnie niepodległa.

W mniemaniu szlacheckich statystów opatrność boska po raz kolejny cudownie uwolniła państwo od heretyków i schizmatyków, i to bez strat terytorialnych. Jednak rzeczywistość była niewesoła, a wolna elekcja po śmierci Augusta II obnażyła smutny stan państwa. Wybrany – tym razem w sposób legalny i wolny – Stanisław Leszczyński nie zdołał utrzymać się na tronie. Kandydujący do polskiej schedy po ojcu elektor saski wszedł w układ z Rosjanami i z ich zbrojną pomocą opanował tron Rzeczypospolitej. August III (1733–1763) zaczął więc panowanie jako władca faktycznie zależny od Rosji i tej zależności nie zrzucił do końca. Po jego śmierci wybór Stanisława Antoniego Poniatowskiego z łaski i nadania Katarzyny II był już w zasadzie czystą formalnością. Możemy więc śmiało powiedzieć, że w dziedzinie stosunków międzynarodowych epoka saska



pozostawiła nam uzależnienie od Rosji, które z przerwami i w różnych formach będzie ciążyć nad Polską aż do 1989 roku.

Utrata faktycznej niezależności państwa nie przeszkadzała szlachcie cieszyć się wolnością wewnętrzną – tym bardziej że „sojusz” z Rosją bądź co bądź skutecznie chronił nasze granice. Panowanie obu Augustów – a zwłaszcza drugiego z nich – było czasem niebywałego wręcz osłabienia instytucji monarchy, w mniemaniu szlachty czyhającego bezustannie na wolności swych poddanych. August II został w tych zapędach skutecznie pohamowany, zaś jego syn w ogóle nie przejawiał takich aspiracji. Do głosu w państwie doszły stronnictwa magnackie, z których jedno stałe współpracowało z dworem, a drugie było w opozycji. Widać to wyraźnie w czasach Augusta III, który początkowo opierał się na reformatorsko nastawionej Familii Czartoryskich. Próbowano wtedy unowocześniać państwo, a zwłaszcza zwiększyć liczbę wojska, określonego w 1717 roku na śmieszne 24 tys. (a faktycznie mniej). Patrioci z kręgu Potockich sabotowali te działania, z wdziękiem rwąc kolejne sejmy. Gdy zatem król zaczął współpracować z opozycją, dwór porzucili Czartoryscy. Teraz ci, nie bacząc na swe dawniejsze plany reform, rwali sejmy – aby góry nie wzięli Potoccy. Ostatecznie Familia uznała, że z Augustem III nie można niczego dokonać, i szykowała się do jego detronizacji. Nie zdążyła – król umarł w 1763 roku. Skutek walk stronnictw był jeden – oprócz sejmku pacyfikacyjnego w 1736 roku zerwano wszystkie i kraj pozostał bez potrzebnych reform. Lepiej bowiem było nie dopuścić do zmian, niżby miała ich dokonać partia przeciwna. Nie będziemy chyba zbyt odlegli od prawdy, stwierdzając, że ten sposób myślenia utrwalił się jako

swoiste dziedzictwo czasów saskich, a obserwować go (w różnym stopniu) możemy niemal do dzisiaj.

SZLACHTA, CHŁOPI I GORZAŁKA

Swobodne rwanie sejmów było jednak wyrazem wolności, którą pochwalał apologeta czasów saskich Jędrzej Kitowicz. U szlachty zaś umacniało się przekonanie, że byleby dochować wierności religii, to już Bóg zatroszczy się o państwo. No, a skoro ma się takiego protektora – któż przeciwko nam? Swoją drogą, dopóki skądinąd bogobojny August III zasiadał na tronie, Rzeczpospolita trwała bezpiecznie. Gdy tylko tron objął oświeceniowy niedowiarek Poniatowski, nie trzeba było długo czekać na rozbiory i upadek.

Wróćmy jednak do religii, ta bowiem była jednym z głównych przejawów życia kulturowego Polski. Znamy z opisów Kitowicza barwny przebieg świąt i uroczystości religijnych. Naród jednoczył się wtedy, a że zewnętrzna pompa przesłaniała czasem istotę rzeczy, o to już nie dbano. Innowierców ostatecznie zepchnięto na dalszy plan. Znana powszechnie sprawa toruńska z 1724 roku, kiedy to w zamieszkach sprowokowanych przez uczniów jezuickiego kolegium głowę dali burmistrz i dziewięciu mieszczan, była wyrazem ogólnego trendu. Groźniejsze były zapisy ustawowe, godzące już w uprawnienia niekatolickiej szlachty. Sejm niemy kazał zburzyć wszystkie świątynie wzniesione po 1674 roku, a sejm konwokacyjny z roku 1733 zabronił niekatolikom piastowania dygnitarstw, urzędów ziemskich, udziału w sądach grodzkich, a także w sejmach i trybunałach. Dbająca o swą wolność polityczną szlachta zgodziła się tym samym na ograniczenie tejże w stosunku do panów braci będących innego wyznania niż katolickie. Dziwnie zręcznym władcą okazał się w tym wszystkim August III,

za młodu przecież protestant, który skutecznie władał katolicką Polską i luterzańską Saksonią: Zygmunt III mógłby tylko pozazdrościć.

Religijnej konsolidacji kraju towarzyszyło dźwiganie się z upadku demograficznego i ekonomicznego. Co prawda daleko było do stanu sprzed potopu szwedzkiego, jednak od lat dwudziestych XVIII wieku, w które weszliśmy z 6 mln ludności i spustoszoną gospodarką, do końca rządów saskich było generalnie coraz lepiej. Kraj mimo wszystko zażywał pokoju, a to zawsze procentuje. Po pół wieku, w przeddzień pierwszego rozbioru, Rzeczpospolita zamieszkiwała już 12–14 mln ludzi.

Rzecz jasna wzrost demograficzny miał swoje uwarunkowania. Gospodarka folwarczno-pańszczyźniana mimo wszystko kulała. Rosjanie zaczęli sprzedawać coraz więcej swego zboża przez zdobytą na Szwedach Rygę – przypomnijmy: miała ona dostać się nam – a zwiększanie wymiaru pańszczyzny dawało nikłe rezultaty. Może gdyby zwiększyć liczbę dni w tygodniu, ale na to i dziś nie ma rady. Lepiej zarządzane majątki magnackie – czego przykładem choćby Wilanów w rękach Sieniawskich – radziły sobie dobrze. Coraz częściej zaczęto też wprowadzać oczynszowanie chłopów, które przynosiło lepsze efekty niż pańszczyzna (wiadomo – *chyrze bydlą z pany kmiecie*). Udało się zatem wyprodukować całkiem sporo zboża, ale z powodu konkurencji rosyjskiej trudniej było je sprzedać za granicę. Co zatem czynić? Rozwiązanie proste – przerobić zboże na gorzałkę i sprzedać ją własnym chłopom. Szlachta w przymusie propinacyjnym odkryła nowe źródło dochodu. Chłopów pozbawiono prawa samodzielnego warzenia piwa i pędzenia gorzałki – stało się to monopolem dworu szlacheckiego. Tu wytworzone napitki trafiały do karczem na terenie włości szlacheckich, a chłopom mieli obowiązek zapatrywać się tylko w produkty własnego pana. Jakość i dochód gwarantowane. No i ciekawa spuścizna – monopol spirytusowy do dziś trwa i przynosi niezły dochód państwu. Pamiętajmy, kiedy się zrodził i komu go zawdzięczamy.

ZANIM WYBUCHŁO OŚWIECENIE

Na tym dość nieciekawym tle zdecydowanie lepiej wyglądało życie kulturalne. W architekturze rozkwitał polski barok. To wtedy powstały tak wybitne dzieła, jak kościoły Wizytek w Warszawie, Dominikanów i sobór św. Jura we Lwowie, a także liczne pałace: Saski w Warszawie, Czartoryskich w Puławach, Branickich w Białymstoku czy saska część Zamku Królewskiego w Warszawie. Wymieniać można by zresztą długo.

Widać też wyraźne ożywienie w kulturze umysłowej. Oto biskup Józef Andrzej Załuski założył w 1744 roku Towarzystwo Kupowania Książek, a cztery lata później przekazał 300 tys. woluminów i 10 tys. rękopisów Rzeczypospolitej, tworząc pierwszą bibliotekę publiczną – prekursorkę dzisiejszej Biblioteki Narodowej. Ciągłe żywo interesowano się dziejami i prawem Rzeczypospolitej – Maciej Dogiel zaczął wydawać zbiór materiałów dotyczących kontaktów międzynarodowych (*Codex diplomaticus*), a gdańszczanin Gotfryd Lengnich opublikował świetną niemieckojęzyczną historię Prus.

Zajmowano się też naprawą systemu. Niefortunny król Stanisław Leszczyński, działając już w Lotaryngii, patronował

publikacjom reformatorskim, jak *Głos wolny wolność ubezpieczający*, będący najlepszym projektem reform od czasów Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Jego dopełnieniem był traktat *O skutecznym rad sposobie pióra* Stanisława Konarskiego, żądającego zniesienia *liberum veto*. W Polsce zakon pijarów wziął się do zmian w szkolnictwie, fundując w 1740 roku Collegium Nobilium – szkołę dla szlachty z nowoczesnym programem nauczania. Sprawiedliwość trzeba oddać jednak i jezuitom, którzy w swych kolegiach prowadzili nowatorskie wykłady z fizyki połączone z eksperymentami.

Pod maską bezwładu politycznego tętniło zatem w czasach saskich życie kulturalne, które zapowiadało i przygotowało eksplozję polskiego oświecenia epoki stanisławowskiej. Nie byłoby jej, gdyby

nie to, co zrobiono za Sasów. Czy możemy zatem powiedzieć, że w najbardziej zgoła niesprzyjających warunkach politycznych duch polski najbujniej odradza się i rozwija? Jeśli tak było w epoce zaborów, to zapowiedź tego mamy już za Sasów. Ale musimy też pamiętać, że była to zarazem epoka dominującego wciąż – choć stopniowo tracącego swe pozycje – sarmatyzmu. Cechowało go bezkrytyczne umiłowanie przeszłości – a więc niechęć do wszelkich zmian – oraz nikłe poczucie realizmu politycznego. Sarmaci tych czasów byli rozmiłowani w Oriencie, dobrym jedzeniu i piciu (za króla Sasa jedz, pij i popuszczaj pasa) oraz życiu towarzyskim. Tradycje polskiej gościnności i wystawności umacniały się. Świat naokoło był swojski, obłaskawiony i naukowo objaśniony przez ks. Benedykta Chmielowskiego w *Nowych Atenach*. Ta barwna, huczna, swarliwa rzeczywistość zdominowała obraz epoki saskiej. Czy słusznie? Niech czytelnik osądzi. Wszak z okresem tym jak z koniem – jaki jest, każdy widzi. Byle patrzeć uważnie. □

DARIUSZ MILEWSKI, historyk epoki nowożytnej, pracuje na Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie



Głos wolny wolność ubezpieczający
Stanisława Leszczyńskiego

Portret trumienny

Tekst pochodzi ze zbioru *Węzły pamięci niepodległej Polski*, Kraków–Warszawa 2014, wydanego przez Fundację Węzły Pamięci, Muzeum Historii Polski i Wydawnictwo Znak, Kraków–Warszawa 2014. Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji.

Portrety trumienny uchodzą za najbardziej chyba charakterystyczny i niepowtarzalny zabytek polskiego baroku. Z miedzianych, ołowianych, czasem drewnianych, najczęściej pentagonalnych obrazów wiszących na ścianach kościołów (dziś najczęściej muzeów) spoglądają na widza werystycznie odmalowane twarze osób zmarłych w XVII i XVIII wieku: szlachty, rzadziej duchownych i mieszczan. Portrety trumienny, obok rzadkich już dziś chorągwi nagrobnych i fragmentów architektury okazjonalnej, a także kazań, rysunków i opisów, są pozostałością po okazałych uroczystościach pogrzebowych organizowanych w Rzeczypospolitej epoki baroku.

Pogrzeb jako najprostszy niech będzie, nie pogański, ale katolicki. Ciało moje grzeszne aby nie końmi w dzień pogrzebu wieszono, ale ubodzy nieśli [...]. Ciało w szaty czarne ubrać proste, krucyfiks i koronkę prostą dawszy w ręce i szkaplerz na szyję włożyć. Mary

czarnym sukniem jako paklakiem [proste grube sukno] nakryć, bez herbów, bez katafalku w kościele, bez prowadzenia koni i inszych aparatów dla pompy. O co, dla Boga, proszę, a co by się na materią dla ciała wydać mało [...], pierścionków, łańcuszków ani żadnej materijnej jedwabisty nie kłaść, gości obcych niewiele prosić na pogrzeb, najwięcej księży, ubogich, zakonników. Kazanie albo żeby nie było, albo żeby nie chwalono [...], pisał w testamencie kanclerz litewski Albrycht Stanisław Radziwiłł (zm. 1656). Księżna wdowa Krystyna Anna z Lubomirskich, jak się zdaje, nie posłuchała woli męża, o czym świadczy zachowany do dziś obraz przedstawiający Albrychta Stanisława na ozdobnych marach (nie dysponujemy jednak opisem pogrzebu).

Staropolskie pogrzeby magnackie wzorowano na ceremoniach pogrzebowych władców Rzeczypospolitej. Te zaś stanowiły przystosowaną do katolickiej liturgii syntezę upowszechnionych przez literaturę humanistyczną wzorców

Nagrobek szlachcianki z sandomierskiego kościoła św. Michała Archaniola, fot. Wojciech Kalwat



rzymskich, cesarskich i włoskich. Szczególną rolę w nadaniu im uroczystej oprawy odegrał nadworny artysta polskich Wazów, Włoch Giovanni Battista Gisleni.

POGRZEB CEREMONIALNY

Pierwszym etapem ceremonii było wystawienie na widok publiczny wstępnie zabalsamowanego ciała zmarłego w domu lub miejscu zgonu. Okres dzielący zgon od pogrzebu trwał przynajmniej miesiąc, a nieraz się jeszcze wydłużał. W tym czasie zamawiano ozdobny katafalk stawiany przed ołtarzem (*castrum doloris* – zamek boleściwy, jak go zwano, zwieńczony był baldachimem, a jego dekoracje składały się na przemyślny program ideowy, czytelny dla uczestników ceremonii), malowano portrety zmarłego i jego przodków, przygotowywano tarcze herbowe, zamawiano okolicznościowe kazania i msze żałobne, zapraszano gości. Gdy ukończono przygotowania, następowo wyprowadzenie ciała zmarłego w uroczystej procesji do świątyni. Orszak składał się często z wielu ozdobnych karet, służba przebrana była w żałobne stroje. Za karetą z trumną jechał na koniu ubrany w strój zmarłego archimimus. Po wkroczeniu do świątyni – zwyczajem pogrzebów królewskich – archimimus spadał z konia, łamano miecze, pieczęcie lub laski marszałkowskie, zależnie od godności piastowanych przez zmarłego. Portret trumienny umieszczano z reguły „w nogach” leżącej na *castrum doloris* trumny, tak aby zmarły symbolicznie uczestniczył w ceremonii i „patrzył” na obecnych (stąd weryzm malunku). Sam pogrzeb trwał kilka dni, a podczas największych uroczystości odprawiano w dobrach zmarłego nawet kilkaset mszy żałobnych, wygłaszając przy tym wiele panegirycznych kazań. Koszty uroczystości bywały wysokie, wynosiły



co najmniej kilkadziesiąt tysięcy złotych albo i więcej, z czego największa część szła na pobożne ofiary.

Krytycy owych uroczystości – także katolicy – zarzucali organizatorom nadmierne ekspozowanie wątków pozareligijnych, przesadne koszty, dominację wątków panegirycznych. Mimo to uroczyste pogrzeby organizowali nawet kalwiniści, nie bacząc na religijny nakaz skromności. Ważnym argumentem podnoszonym przez obrońców owych ceremonii była tradycja i wreszcie walor wychowawczy – bliska barokowej religijności demonstracja faktu, że śmierć czeka każdego, nawet najpotężniejszego spośród śmiertelników.

Ceremonialne pogrzeby nie były specyfiką Rzeczypospolitej. Podobne, czasem jeszcze bardziej wystawne uroczystości żałobne, organizowano w innych krajach, ale niemal wyłącznie przy okazji pogrzebów panujących. W Rzeczypospolitej, gdzie wiek XVII przyniósł decentralizację władzy, dodające splendoru ceremonie właściwe dworowi królewskiemu praktykowała magnateria. Od niej z kolei, z zachowaniem proporcji, wzory przejmowała bogata, a nawet średnia szlachta.

Paradoks – swoisty chichot historii – spowodował, że zachowane do XX wieku portrety trumienne przedstawiają bogatą, czasem średnią szlachtę. Konterfekty członków najpotężniejszych magnackich familii nie zachowały się, bowiem malowano je zwykle na srebrnej, a nie miedzianej czy ołowianej blasze. Były więc na tyle cenne, że następne pokolenia zdecydowały się po prostu je przetopić. *Hic transit gloria mundi.* □

MICHAŁ KOPCZYŃSKI, historyk, redaktor naczelny „Mówią wieki”

Portrety trumienne (od góry) nieznanego szlachcica, Anny Ludwiki z Bukowieckich Dziembowskiej oraz Bogusława Dziembowskiego, fot. Wojciech Kalwat i archiwum „Mówią wieki”

Dziedzictwo kuchni staropolskiej

Czy dawna, historyczna kuchnia przetrwała do dziś? Czy schabowy, chleb ze smalcem i bigos to nasze kulinarne dziedzictwo i czy mają one coś wspólnego z kuchnią szlachecką lub sarmacką? Odpowiedzi na te pytania wcale nie są proste.

Cechą dawnej kuchni było przede wszystkim jej ogromne zróżnicowanie: społeczne, regionalne, religijne, sezonowe. Kuchnia ciągle się zmieniała, zatem nie ma jednego wzorca, z którym moglibyśmy porównać nasze współczesne jedzenie. Możemy oczywiście wertować dawne książki kucharskie i zobaczyć, że np. *Compendium ferculorum* z 1682 roku zaczyna się od przepisu na rosół, że autor opisuje czerninę, karpia po żydowsku czy żur, ale dalej możemy tam znaleźć bobrowe ogony, ślimaki czy tort ze szpinakiem i miodem. W *Compendium* niewiele jest przepisów na dominującą dziś wieprzowinę, a najbardziej rozwiniętym działem były potrawy rybne. Generalnie to, co dziś nazywamy kuchnią staropolską, nie jest tym samym, czym była historyczna kuchnia staropolska (sprzed rozbiorów).

Powszechne dziś zainteresowanie kuchnią sprawia, że interesujemy się także historią jedzenia. Pasjonowanie się gotowaniem jest dzisiaj na tyle powszechne, że nawet nie zdajemy sobie do końca sprawy, na czym to zjawisko polega. W ciągu krótkiego czasu prawie całkowicie zmieniły się jakość i sposób żywienia większości ludzi: jedzenie stało się produktem przemysłu, jest coraz mniej związane z naturą i stało się częścią globalnej gospodarki. Dzięki masowej produkcji jest tańsze, a także, wbrew powszechnemu wyobrażeniu, bezpieczniejsze niż dawniej. A mimo to tego nowego jedzenia się boimy.

Wraz z odejściem od dawnego jedzenia tracimy poczucie więzi z ludźmi i regionem, naturą, tradycją, a nawet własne wspomnienia i pamięć o smaku dzieciństwa. Warto zauważyć, że polska tradycja kulinarna została zubożona nie tylko przez industrializację i globalizację, ale także przez komunizm i biedę PRL, którego ważną częścią było hasło żywienia zbiorowego.

To, co dotrwało do naszych czasów, to przede wszystkim kuchnia ludowa. Wraz z likwidacją warstwy „obszarników” zniknęli słynni szefowie kuchni i zapomniano o tradycyjnych polskich daniach w ich elitarnej wersji. Dziś polscy kucharze szukają inspiracji raczej w kuchniach innych krajów niż w naszej tradycji kulinarnej. Wielu uczyło się gotowania

np. w Wielkiej Brytanii, skąd przywieźli solidną wiedzę o kuchni międzynarodowej i najnowszych trendach kulinarnych. Po okresie fascynacji nowoczesnością i popularności widowiskowych technik tzw. kuchni molekularnej, w ostatnich latach we współczesnej gastronomii przewagę zdobyło odwoływanie się do natury, lokalności, sezonowości i minimalizmu w sztuce kulinarnej. Takie podejście skłania też dzisiejszych kucharzy do sięgania do polskiej tradycji kulinarnej, w której szukają zwłaszcza zapomnianych, oryginalnych składników, szczególnie dzikich roślin, ziół i przypraw, sposobów łączenia różnych smaków i unikalnej wiedzy żywieniowej.

Posłużę się tu przykładami dwóch, zdawałoby się, bardzo banalnych składników: octu i musztardy. Dziś są to produkty tanie, masowe i bez wyrazu. Bardzo wczesnie stały się produktami przemysłowymi, tak jak w Anglii sos Worcestershire, a w USA ketchup lub chipsy. Dlatego całkowicie zniknęła wiedza na temat ich wytwarzania w warunkach domowych. W najstarszych polskich tekstach kulinarnych receptury na ocet i musztardę należały do najbardziej popularnych. Z pierwszej, zachowanej tylko w drobnym fragmencie, polskiej książce kucharskiej z XVI wieku zachowało się tylko dziewięć różnych przepisów na ocet, produkt pierwszej potrzeby, wyrabiany w każdym domu, bez którego nie można było kiedyś przetrwać zimy. O podobny zawrót głowy mogłaby nas przyprawić mnogość rodzajów musztardy, uważanej za wykwinntny dodatek do potraw, także wyrabianej w domu.

Dziś po długiej i pogmatwanej wędrówce wracamy do tych wzorów. Historia w tym procesie przypominania i umacniania tradycji jest czymś ważnym, także według prawa. Zarówno regulacje polskie dotyczące rejestrowania regionalnych produktów żywieniowych przez Ministerstwo Rolnictwa, jak i prawo unijne o europejskich oznaczeniach żywności tradycyjnej przewidują w tym procesie ważną rolę dla dokumentacji historycznej. □

Nowe prądy w sztuce

Początek wieku XVIII to zmiany w sztuce: kończy się wówczas barok, a rozpoczynają rokoko oraz klasycyzm. Rozwoju sztuki nie ułatwiała szalejąca niemal od trzech lat wielka zaraza, która w latach 1707–1711 zdziesiątkowała kraj. Bardzo dobrze obrazuje to historia Poznania, którego ilość mieszkańców zmniejszyła się wówczas z 15 do zaledwie 4 tys. Łukasiewicz podkreślał, że *wszystkie kościoły i sklepy były zamknięte, handel i ruch ustał [...] gdziekolwiek się spojrzano, wszędzie stały i leżały trupy [...]. Powiadano, że Warszawa wyludniła się całkowicie [...]*.

Zmiany następowały powoli, ok. roku 1720, architektura stawała się coraz bardziej swobodna, fasady falujące i współgrające ze światłem. Coraz więcej było też roztańczonych gzymsów, teatralności i zabawy formą, w rzeźbie więcej lekkości, zaś w malarstwie prywatności.

W pierwszej ćwierci tego wieku najważniejszym ośrodkiem ponownie stał się Kraków, a to dzięki architektowi Kacprowi Bażance, który potrafił wyczarować niezwykle fasady tamtejszych świątyń. Jego arcydziełem jest ukończona odbudowa kościoła i klasztoru Norbertanek w Imbramowicach. Niemalą rolę w rozwoju sztuki odegrał także sam

August II Mocny, który zainicjował wiele zmian w układzie urbanistycznym Warszawy. Nie wszystkie zostały zrealizowane, jednak najciekawsza z nich istnieje do dziś. Mowa tu o tzw. osi saskiej, czyli liczącym ponad 1600 m układzie ulic od Krakowskiego Przedmieścia do pól elekcyjnych na Woli. Jej sercem był Pałac Saski. Był to budynek od frontu poprzedzony olbrzymim dziedzińcem, zaś od tyłu otoczonym ogrodem francuskim założonym na planie trapezu z altaną pośrodku. W otaczającym go murze znajdowała się wspaniała brama, o której pisała Elżbieta Charazińska: *krata o ornamentach geometrycznym w partii dolnej, na wysokości*

Fontanna w Ogrodzie Saskim na tyłach Pałacu Saskiego na przedwojennej pocztówce, fot. Wikipedia



WARSCHAU

Sächsischer Garten — Ogród Saski



Kościół Wizytek w Warszawie, fot. Carlos Delgado/Wikipedia

jednej trzeciej przechodząca w pręty – lance zakończone trójkątnymi ostrzami. Umocowana była w kamiennej, architektonicznej konstrukcji. Ozdobiona została przez rzeźbiarsko rozwiązane emblematy władzy monarszej. Po jednej strony kartusze wypełniały herby Polski i Litwy zwieńczone królewską koroną, a po drugiej herby dynastii Wettinów z elektorskim kapeluszem.

CZASY AUGUSTA III

Jeszcze więcej znaczących zmian następuje za czasów Augusta III. To wtedy pojawiają się liczne rezydencje magnackie i sakralne. Działają architekci, tacy jak Karol Bay, Efraim Szreger, Jakub Fontana i Szymon Bogumił Zug. Spośród rzeźbiarzy wyróżnili się Jan Jerzy Pleresch, Antoni Frąckiewicz, Wojciech Rojewski, Jan Henryk Meissner, Jan Chryzostom Redler czy Maciej Polejowski. O życiu Karola Baya wiadomo bardzo mało. Urodził się w pierwszej

połowie XVII wieku we Włoszech, a zmarł w 1740 roku. W latach 1722–1737 działał w Polsce, gdzie zyskał miano *magnificus Sacrae Regiae Maiestatis Architectus*. Wiadomo, że był architektem i budowniczym. Preferował falujące, modelowane kolumnami fasady, w których kluczową rolę odgrywało światło. Najważniejszym jego dziełem był projekt przebudowy wnętrza pałacu Mniszchów w Warszawie (1716–1720) oraz projekt tutejszego kościoła wizytek w Warszawie (1728–1761). Architekt Efraim Schröger (1727–1784), działający od 1743 roku w Warszawie, rozpoczął studia u Jana Zygmunta Deybla, by w roku 1753 zostać zaprzysiężony jako królewski konstruktor budowlany. Był twórcą dekoracji w kościele Wizytek w Warszawie (1759). Jakub Fontana (1710–1773), kolejny wielki budowniczy królewski i pułkownik, także studiował we Włoszech i w Paryżu. Był nazywany kapitanem architektem JKMci, pra-

cował w Komisji Brukowej, prowadził działalność na terenie Warszawy i okolic, Krakowa i Kielc. Działał przy przebudowie pałacu w Łazienkach i jednej z końcowych faz przebudowy pałacu Bielińskich w Otwocku. Ostatni z wielkiej czwórki architektów epoki to Szymon Bogumił Zug (1733–1807), będący już przedstawicielem wczesnego klasycyzmu. Był projektantem ogromnej ilości budowli, a także założeń ogrodowych, takich jak Młociny (od ok. 1760), Solec (1772), Powązki (ok. 1772), Mokotów (ok. 1775), a także przebudowy pałacyku Brühla. Bardzo ciekawą realizacją warszawską jest przeprowadzona w latach 1736–1738 odnowa Pałacu Kazimierzowskiego. Wówczas budynek podwyższono w ryzalitach o piętro, dodano mansardowe dachy, a ryzalit od strony rzeki zwieńczono półokrągłym frontonem. Od dziedzińca dodano kopułowy dach z zegarem. Nie zabrakło też dekoracyjnego orła w koronie. Kolejnym gmachem był pałacyk Brühla, który przykryto łamanym dachem. Bardzo ciekawe realizacje architektoniczne tego okresu są dowodem dużych umiejętności działających wówczas architektów i budowniczych.

Jednak to, co najciekawsze, działo się na obrzeżach Rzeczypospolitej. Prawdziwą perłą jest lwowski kościół oo. Dominikanów zaprojektowany przez Jana de Witte. Inspiracją dla architekta był wiedeński kościół Karola Borromeusza autorstwa Fischera von Erlacha. Jak pisał Zbigniew Hornung: *kościół Bożego Ciała łączy impulsywny barok włoski Borrominiego i Guariniego, przefiltrowany przez wpływy czeskie, z chłodnym racjonalizmem francusko-holenderskiego klasycyzmu oraz najbardziej wybujałym środkowoeuropejskim rokokiem, którego znamioną cechą jest wyrafinowany ideał lekkości bytu*. Całość dodatkowo zdobiły umieszczone m.in. pod kopułą złocone posągi, które wykonał Antoni Osiański. To świetny przykład tego, jak kształtowała się sztuka znajdująca się poza kręgiem wpływów dworskich.

ROKOKO

August III to władca, którego panowanie splata się nie tylko z ustępującym barokiem, ale także z nowym stylem w sztuce – rokokiem, prądem będącym odpowiedzią na pełen konwenansów francuski dwór Ludwika XIV. Dla architektury oznaczało to zarówno pojawienie się delikatnej, asymetrycznej dekoracji, w której znakami rozpoznawczymi były *rocaille*, czyli ornament o nieregularnych krawędziach przypominający muszlę, oraz delikatnej, pastelowej kolorystyki. Prekursorkami nowej mody na terenie Rzeczypospolitej były kobiety, to one bowiem bacznie śledziły wszelkie nowinki docierające z zagranicy. Były one swoistym remedium na sarmacką, ciężką codzienność. Nowa moda docierała nad Wisłę z Drezna i Francji; w jej upowszechnieniu wielką rolę odegrała Zofia z Sieniawskich Czartoryska, która (jako pierwsza zresztą) zamówiła u Juste-Aurèle Meissonniera dekorację saloniku w pałacu w Puławach.

Ten buduarowy i „salonikowy” charakter wkracza także do wnętrza sakralnych. Świetnym przykładem rzeźby tego okresu jest realizacja znajdująca się w kościele parafialnym Marii Magdaleny w Dukli z 1765 roku. To szczególnie

piękny nagrobek Marii Amalii z Brühlów Mniszchowej. W południowej kaplicy umieszczono perłę polskiej rokokowej sztuki sepulkralnej. Nagrobek powstał rok po śmierci Marii. Wykuto go z jasnego materiału, a przez to stanowi *novum* w tego rodzaju plastyce. Zazwyczaj stosowano ciemne marmury, żeby podkreślić żałobny charakter realizacji. Tymczasem pomnik Marii nie jest utrzymany w konwencji typowego nagrobka. Towarzyszące bieli odcienie złota i srebra, a także specyficzny wystrój kaplicy stwarzają ciekawą iluzję – zmarła została pokazana tak, jakby właśnie odpoczywała. Artysta ukazał całą jej postać ubraną w rokokową strojną suknię, leżącą na sofie. Sprawia ona wrażenie trochę znudzonej; głowę podpira dłonią. Buduarowy charakter przedstawienia podkreśla dodatkowo książka, którą trzyma Maria. Ta rzeźba nagrobna stanowi doskonały przykład umiejętności tzw. szkoły lwowskiej. Cechują go dokładność, finezja przedstawień, a także subtelność, wyrafinowanie, ogłada itp. Uderzają precyzja i realizm wykonania, miękkość obróbki kamienia. W nagrobku Marii Mniszchowej z Dukli dostrzec można nie tylko piękno, ale także subtelność, delikatność oraz finezję przedstawienia. Taki sposób potraktowania tematu powoduje, że człowiek ma wrażenie doświadczania prawdziwego ciała, a nie kamienia. Jest to niewątpliwie jeden z lepszych przykładów szlachtetnego rokoka w Polsce.

Innym artystą światowej klasy był Jerzy Plersch (1704 lub 1705–1774). Stylistyka jego rzeźb nawiązuje w pewnym stopniu do tzw. szkoły lwowskiej w rzeźbie. Byli to rzeźbiarze pochodzący ze Lwowa i okolic; często tworzyli w okolicach Przemyśla. Szkoła ta rozwinęła się około 1750 roku. Snycerze pozostawali w ścisłym związku z architektami, którzy określali w swych projektach przestrzeń dla rzeźby. W tematyce i formie chętnie sięgano do dawnej tradycji rzeźby XVII wieku, szczególnie do twórczości Baltazara Fontany oraz sztuki południowoniemieckiej i austriackiej.

MALARSTWO CZASÓW SASKICH

Wysoki poziom artystyczny reprezentowali także związani z dworem saskim wybitni malarze, tacy jak Augustyn Mirys czy Louis de Silvestre. Silvestre był Francuzem, uczniem Charles’a Le Bruna, który w latach 1716–1748 przebywał na dworze saskim w Dreźnie. Zajmował się tam przede wszystkim portretowaniem elit, członków rodziny królewskiej, także wykładał malarstwo. W Warszawie zajmował się m.in. dekoracjami Pałacu Saskiego. Tworzył także liczne portrety królów we francuskim stylu, mające na celu ukazanie splendoru i godności monarchów. Jednym z ciekawszych obrazów był namalowany przez Silvestre’a portret Anny Orzelskiej. Ta przepiękna kobieta obserwuje otoczenie z płótna, na którym została zatrzymana. Uśmiecha się zalotnie, ale cały czas czujnie. Niewątpliwie malarz stworzył arcydzieło. Młoda kobieta jest dumna, uśmiechnięta, ale też lekko zamyślona. Jest ukazana równie zagadkowo jak sposób, w jaki żyła. Więcej tu niedopowiedzeń niż przekazanych konkretnych treści. Silvestre namalował równie fascynujący portret Augusta III z Murzynkiem. Portrety królewskie, które wychodziły spod



Nagrobek Marii Amalii z Brühlów Mniszchowej w kościele Marii Magdaleny w Dukli, fot. Robert Niedźwiedzki/Wikipedia

pędzla tego malarza, pokazują monarchę jako człowieka pewnego siebie, władczygo, silnego, otoczonego splendorem. Na głowie ma perukę, jest okryty królewskim płaszczem z gronostajem z wyraźnie umieszczonymi odznaczeniami: Orderem Orła Białego oraz Orderem Złotego Runa. Jest to jeden z kanonicznych portretów epoki.

Augustyn Mirys (1700–1790) był synem szkockiego emigranta. Do Polski dotarł dzięki Janowi Stanisławowi Jabłonowskiemu w 1731 roku. Początkowo przebywał w Gdańsku, później przeniósł się do Warszawy. Korzystał z gościnności kolejno: Jana Stanisława Jabłonowskiego, Sapiehów, Krasickich, Franciszka Bielińskiego. Od 1752 roku pracował dla hetmana wielkiego koronnego Jana Klemensa Branickiego w Białymstoku. Malował głównie obrazy religijne, mitologiczne, historyczne, portrety i pejzaże. W namalowanym przez niego *Portrecie Ignacego Cetnera jako oficera* widać nawiązania do płócien Hyacinthe Rigauda. Widać to w sposobie ujęcia Cetnera, takim, jak w obrazach reprezentacyjnych. Wizerunek jest ciemny, niemal monochromatyczny. Z brunatnego tła wyłania się jedynie twarz

portretowanego. Wizerunek pełen jest prawie nieuchwytnych delikatnych światłocieni.

Ważną postacią pośród malarzy był także Szymon Czechowicz, który trafił do Polski w roku 1731 po studiach w Rzymie. Zajmował się głównie tematyką religijną, w której przeważają czyste kompozycje, ułożone klasycznie, pełne światła i wyważenia. Ważnym działem w twórczości Czechowicza jest malarstwo portretowe, w którym zainicjował portret wrazeniowy. Jego wizerunki zrywały z dotychczasowym niemal cukierkowym wyobrażeniem człowieka na rzecz portretów realistycznych. Sztandarowym dziełem jest portret Franciszka Maksymiliana Ossolińskiego. Magnat został namalowany w doskonale lśniącej zbroi sprawiającej wrażenie niemal namacalnej, przykrytej sobolami. Wszelkie błyszczące dodatki nie przysłaniają jednak mistrzowsko namalowanej twarzy. To w niej oddane zostały *małe oczka i pospolite rysy, ale w swej wymowie jest to oblicze poważne, uszlachetnione inteligencją zmieszaną z dostojnością*. □

BARTŁOMIEJ GUTOWSKI, historyk, pracuje w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie

Dziedzictwo sarmackie: pańska Polska

Czy jest jakaś różnica między Panem Bogiem a panem Kowalskim? Pytanie może dziwne, wszak pan to pan, jakby się wyraził indagowany o to Roch Kowalski (nomen omen). A jednak czujemy chyba różnicę? Otóż „pan” oznacza władcę czegoś lub kogoś. I w tym znaczeniu Pan Bóg pasuje jak ulał. A czym włada współczesny pan Kowalski – czasem nawet szanowny lub wielce szanowny? Zdarza się, że kilkudziesięciometrowym mieszkaniem (do spółki z bankiem), samochodem i może działką gdzieś pod miastem. Dlaczego nie jest zwykłym Kowalskim, ale panem Kowalskim?

Otóż mamy tu do czynienia z dziedzictwem epoki sarmackiej. Przed rozbiorem w Rzeczypospolitej panem był ten, kto był wolny i władał ziemią, poddanymi itp. Tytuł przysługiwał zatem królowi oraz jego wolnym poddanym – możnym i szlachcie. Mieszczanie ani chłopci nie „panowali” ani sobie nawzajem, ani tym bardziej nie byli tak nazywani przez przedstawicieli stanu szlacheckiego. Szlachta zaś – wszak szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie – utrzymywała tytuł pański niezależnie od faktycznego stanu posiadania, gdyż tytuł ten był istotnym przejawem jej pozycji w państwie. Owszem, powszechnie zdawano sobie sprawę, że magnaci czy książęta kresowi stali znacznie wyżej niż drobna szlachta. To też wpływało na różnicowanie tytułów, jakimi się określano – wszyscy byli panami, ale senator był już wielmożnym panem czy nawet jaśnie wielmożnym panem. I on jednak zwracał się do szaraczków szlacheckich „panowie bracia”, aby nie urazić ich dumy.

Z upadkiem Rzeczypospolitej powinna się skończyć i epoka panów, jako że wszyscy w większym lub mniejszym stopniu poddani zostali władzy absolutnych i biurokratyzowanych monarchii. Tymczasem stało się wręcz przeciwnie. Tytuł pański zaczął się rozpowszechniać. Stało się to przede wszystkim za sprawą dużej liczby zubożałej szlachty, zasilającej szeregi inteligencji (nawet tej, o zgrozo, pracującej), która nie chciała się rozstawać z przysługującym jej tytułem. Było to typowe – skoro straciliśmy wolność decydowania o swoim państwie, to zostawmy sobie choć pamiątkę tego, kim kiedyś byliśmy. Ta inteligencja z kolei wzięła się ochoczo do uświadamiania chłopom, że są Polakami, i tak to kultura sarmacka stała się współtwórcą współczesnej świadomości narodowej. Jest to oczywiście pewne uproszczenie, lecz pokazuje mechanizm działania – wbrew temu,

co twierdzili późniejsi koryfeusze ludowości, to nie kultura i sztuka „ludowa”, promowana na wielką skalę w dobie PRL, ale właśnie kultura szlachecka stała się podstawą współczesnej polskości.

Utrzymywanie się, a następnie rozszerzanie zasięgu pańskich tytułów miało też swoje znaczenie narodotwórcze. Otóż w przeciwieństwie do naszych zaborców, a zwłaszcza Rosjan, gdzie tytuły przysługiwały nielicznej szlachcie, Polaków łatwo było już w XIX wieku rozpoznać po ich pańskich tytułach. Wystarczy przytoczyć anegdotę o pewnym mnichu Pankracym, którego rosyjski dowódca uznał za pana Kracego. Stąd już mamy niedaleko do tezy o pańskiej Polsce, która gnębi swych robotników i sąsiadów (jak tego chciała propaganda sowiecka w okresie międzywojennym).

Wywodzący się z kultury szlacheckiej tytuł pański był szczególnie zniechęcony właśnie przez komunistów, usiłujących przekształcić państwo polskie w twór robotniczo-chłopski. Stąd wziął się nacisk nie tylko na rozpowszechnienie partyjnego tytułu towarzysz – co miało sens wśród członków PZPR – ale i tytułu obywatel, który w komunistycznej nowomowie miał wykorzenić reakcyjnego pana z mentalności społecznej. Był to zresztą pomysł pochodzenia francuskiego, z czasów wielkiej rewolucji. Jak wiadomo, ostatecznie nie przyjął się i obecnie nawet w korespondencji urzędowej nie nazywamy nikogo obywatelem/obywatelką, ale panem/panią. Można śmiało rzec, że zwycięstwo pana nad obywatelem było zwycięstwem polskości nad komunizmem. My zaś możemy się cieszyć tym dziedzictwem epoki sarmackiej, pamiętając, że bez niej nie bylibyśmy dziś szanownymi paniami i panami. □



Szlachcic, rys. Jana Piotra Norblina, fot. archiwum „Mówią wieki”

Kalendarze. Zbiór sciencyi

Popularną wiedzę w encyklopedycznym wydaniu czytelnik (nie tylko) szlachecki czerpał z niezwykłego dzieła *Nowe Ateny albo Akademia wszelkiej sciencyi pełna* Joachima Benedykta Chmielowskiego. Ta wykpiwana przez oświeconych książka była odzwierciedleniem mentalności i zakresu wiedzy w czasach saskich.

Nowe Ateny, pierwsza dwutomowa encyklopedia w języku polskim, po raz pierwszy ukazały się w 1745 roku. W latach 1754–1756 wznowiono je w formie czterotomowej. Książka była czytana chętnie i z wiarą, często łączoną z przeświadczeniem o prawdziwości zawartych tam prawd, półprawd, ćwierćprawd, a nawet kompletnych absurdów i bzdur – bo takich, prócz wiadomości ważkich i sprawdzonych, książd Benedykt nie szczędził odbiorcy. Współczesnego czytelnika zadziwiają, szokują i czasem bawią zawarte w nim dogmaty sarmackiej wiedzy oraz wyobraźni. Pomieszanie faktów, domysłów czy wręcz zmyśleń jest imponujące. W tej pierwszej encyklopedii nie brakło informacji o siłach nadprzyrodzonych, o czartach, czarnoksiężnikach, cudach. Zbiorem takich sciencyi długo jeszcze cieszyło się staropolskie społeczeństwo.

NAUKA Z KALENDARZA

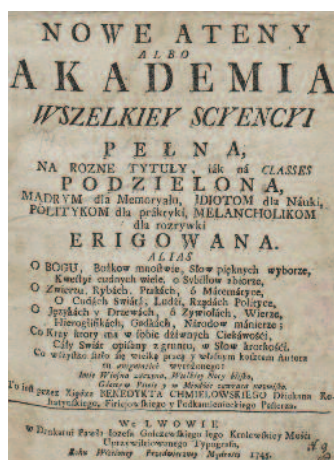
Na książkę Chmielowskiego nie wszyscy mogli sobie pozwolić, tak jak i nie wszyscy mogli ją odpowiednio przetrwać. Zresztą słowo drukowane nie było jeszcze aż tak popularne zarówno w mieszczańskich domach, jak i szlacheckich dworach. Jeżeli już docierało pod strzechy w postaci bardziej przystępnej i zrozumiałej, to zwłaszcza jako różnorakie i różnoformatowe kalendarze. Produkowano je masowo od XVI wieku, w zawrotnych jak na tamte czasy tysięcznych nakładach. Były więc kalendarze – oprócz lub nawet zamiast modlitewnika – drukami powszechnymi, a często jedynymi w mieszczańskich lub szlacheckich domach. Tłoczono je w drukarniach zarówno świeckich, zakonnych, jak i akademickich. Sławę i pozycję długo utrzymywały kalendarze krakowskie, podparte autorytetem profesorów Akademii Krakowskiej. Później prym wiodł Zamość, w którym działał Stanisław Józef Duńczewski. Ten zamojski matematyk układał i rozpowszechniał *Kalendarz polski i ruski*, który zdobył opinię najlepszego i najbardziej poczytnego kalendarza, przez lata należącego do najbardziej popularnych w tej swoistej kategorii literatury.

Wydawana przez niego książka – bo była to prawdziwa książka – była nie tylko zestawieniem dat i tabel świąt, ale także „rewolucji rocznych”, określających, ile lat upłynęło od stworzenia świata czy potopu, a także astrologicznych informacji, prognostyków ostrzegających przed negatywnymi koniunkcjami „planetów” wpływających na życie człowieka. Wierzono, że ciała niebieskie nie tylko wpływały na susze, nadmierne opady, gorąco, mróz, neurodzaje lub klęski elementarne, ale też sprowadzały szarańczę czy morowe powietrze. Nie mogło więc zabraknąć obowiązkowych informacji o ruchach planet, zaćmieniach Słońca czy Księżycy, ognistych kometach czy ziemskich waporach. Ale kalendarze były swoistym zbiorem wiadomości o świecie i porad, spełniając rolę informacyjną oraz edukacyjną. Nie brak w nich informacji gospodarskich i politycznych, porad, jak zaradzić chorobom, konserwować żywność, wywabiać plamy albo przyrządzić „smakowity wisznia”, przepędzać wilki, „skarby utajone poznać”, zastosować od-

powiednie remedium na czarownicy. Nie brakowało także ciekawostek czy zgoła sensacji, które oferowały tak potrzebne informacje o ilości włosów na głowie, „bezdennej” głębokości morza, najsilniejszych mocarzach w Polsce, „jak złodzieja poznać i kradzież wynaleźć” czy wreszcie „jak pić, by się nie upić”.

Kalendarze święciły triumfy zwłaszcza w XVIII stuleciu, ale jeszcze długo później były chętnie kupowane i czytane. Były bowiem nie tylko użyteczną encyklopedią i gospodarskim poradnikiem, ale także książką służącą rozrywce. Chętnie i wielokrotnie były czytane w migotliwym świetle świec i kominków. A ten, który zgłębił tajniki wiedzy w nich zawarte, uchodzić mógł za powiatowego mędrca. Takim właśnie był w Mickiewiczowskim *Panu Tadeuszu* Maciek, który, choć *prostak ubogi*, wiadomości miał więcej niż te zawarte w kalendarzu gospodarskim. □

WOJCIECH KALWAT, historyk, redaktor Magazynu Historycznego „Mówią wieki”



Strona tytułowa *Nowych Aten albo Akademii wszelkiej sciencyi pełnej* Joachima Benedykta Chmielowskiego, fot. www.polona.pl

Sarmacka moda, stroje, toaleta

Obaj królowie z dynastii Wettynów strój polski przywdziali jedynie na koronację – był to tylko zabieg propagandowy. Zaraz potem powrócili do stroju zachodniego. Za ich przykładem bliscy dworu magnaci stopniowo porzucali rodzimy ubiór, skłaniając się ku modzie francuskiej czy raczej jej niemieckiemu wydaniu. Jednak rzesze szlachty i mieszczaństwa nadal były wiernie rodzimej tradycji.

Jak pisał Jędrzej Kitowicz w *Opisie obyczajów za panowania Augusta III*: kontusz, żupan, pas, spodnie czyli portki, i boty, to było całym ubiorem publicznym Polaka, szlachcica i mieszczanina. Konserwatywni Sarmaci niechętnie patrzyli na zwolenników cudzoziemskiej, którym nieraz na sejmikach *fałdów przetrzepano jednie z przyczyny stroju*, a przynajmniej dla zabawy *przepędzono przez błoto w białych pończochach*.

Za panowania saskiego ubiór narodowy przybrał swoją najbardziej charakterystyczną, do dziś rozpoznawalną formę. Zamiast orientalizmu zaczęto przejmować pewne rozwiązania znane z mody i krawiectwa zachodniego, które jednak nie pozbawiły ubioru polskiego jego indywidualnego odrębnego charakteru i wyrazu. Podobnie jak strój francuski, uległ on w tym czasie pewnej standaryzacji i uniformizacji. Żupany i kontusze często łączono w komplety, analogiczne do zachodnich wierzchnich szustokorów, noszonych ze spodnią kamizelką. Często też – wzorem kamizelek – dla oszczędności krojono niewidoczne plecy żupana z tańszego lnianego płótna i sznurowano, co pozwalało regulować szerokość ubioru i dopasowywać go do sylwetki. W wersji odświętnej spodnie szyto z lekkich jedwabi, a okrycie wierzchnie z aksamitu lub sukna.

O charakterystycznym wyrazie polskiego ubioru zaczęły decydować przede wszystkim rękawy kontusza – rozcinane na całej długości, które noszono dekoracyjnie odrzucone na plecy w formie tzw. wylotów. Dobry obyczaj nakazywał jednak, aby opuszczać je dla okazania szacunku – podczas kłaniania się damom, ale także przed wejściem do kościoła. Skromniejsze kontusze bez rozcinanych rękawów nazywano czechmanami. Wyloty podbijano często tkaniną, z której uszyty był spodni żupan; obszywano nią również szalowy kołnierz i mankiety kontusza. Modne stały się też kołnierzyki koszuli z wążutkim mankiem wywijanym na stójkę żupana i spinane pod szyją ozdobną spinką, zwykle metalową, ale również wysadzaną kamieniami lub perłami. Była to często jedyna biżuteria noszona do męskiego stroju polskiego w tym czasie – ozdobne jubilerskie guzy nie były już tak powszechne.

Zmienił się również sposób wiązania pasa, który szlachta zaczęła nosić na kontuszu (jedynie mieszczaństwo nadal



Louis de Silvestre, *August III Wettyn w stroju polskim*, fot. archiwum „Mówią wieki”

zakładali je na żupany). Coraz powszechniej sprowadzano ze Wschodu pasy przetykane złotymi i srebrnymi nićmi (tzw. lite) o ozdobnych zakończeniach, produkowane na wzór perskich i tureckich przez Ormian w Konstantynopolu, a od lat czterdziestych XVIII wieku także na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej.

STRÓJ NIE ZA DŁUGI I NIEZBYT FAŁDZYSTY

Od lat czterdziestych XVIII wieku strój polski, do tej pory sięgający kostek, uległ skróceniu i poszerzeniu. W żupanie, a przede wszystkim w kontuszu, krojono szerokie, układane w fałdy poły boczne, podobnie jak w męskich ubiorach zachodnich. Kiedy zwężeniu uległy szustokory również strój polski pod koniec panowania Augusta III

Konstancja z Czartoryskich
oraz Stanisław Poniatowski,
fot. ze zbiorów Muzeum
Narodowego w Poznaniu



Sasa stracił na fałdzystości: *moda to wcale przystojna, ani zbyt kusa, ani zbyt długa. Krój [...] niezbyt opięty, niezbyt fałdzisty [...] – pisał Kitowicz. O charakterystycznym wyrazie polskiego ubioru decydowały jednak rękawy kontusza – jak wspomniano, rozcinane lub nie.*

Do najpopularniejszych nakryć głowy należały rozmaite czapki z otokiem z baraniego futra – modne stały się m.in. rogatywki o czworograniastym denku, które później nazwano konfederatkami (na cześć konfederatów barskich) i uznano za jeden z narodowych symboli. Bufiaste spodnie szyte z cienkiego karmazynowego sukna, błękitnego atlasu lub adamaszku ozdabiano na szwach złotymi lub srebrnymi galonami i mocowano pod stopą za pomocą strzemiączek. W tym czasie też, wzorem mody zachodniej, spodnie zaczęto zapinać z przodu na guziki, zamiast związywać sznurem; niekiedy zamiast rozporka zaopatrywano je w dopinaną z przodu klapę.

Moda była jednak nie tylko kwestią samego stroju, ale też obyczajowości i kultury. Zachodni ubiór wiązał się z innym stylem życia, oglądą i dwornymi manierami, które wydawały się obce męskiej części polskiego społeczeństwa, chętnie sięgającej po oręż i zagładającej do kielicha, wywierały natomiast duże wrażenie na ich żonach i córkach: *Dwie przyczyny miała pleć biała do wstrętu ku polskiej sukni: pierwsza, iż Polacy chodzący po polsku, jako nie wypolerowani za granicą w te umizgi, techcące pleć białą, które modnisiowie za największą grzeczność obyczajów do kraju przywozili, zachowywali jeszcze manieri dawnym sarmatyzmem oddające; druga, iż kto się nosił po polsku, musiał utrzymywać wąsy, nie mogąc ich golić bez wystrychnienia się na błazna. Nic zaś tak nie odrażało od siebie białą*

pleć jak wąsy, gdy miały podostatkiem w stroju cudzoziemskim gachów bez wąsów, a do tego równie jak niewiasty wypudrowanych, wyfryzowanych, wygorsowanych, wypiżmowanych. Podobnie jak eleganci, sięgający po ubiór francuski panowie również nie stronili od perfum, kosmetyków i intensywnego makijażu. Modną białoscą cery osiągnano za pomocą bielidla (wykonywanego na bazie ołowiu łączonego z kredą), policzki różowano barwiczką, malowano usta i czerniono brwi, a na skroniach zaznaczano delikatne błękitne żyłki. Na policzkach naklecano sztuczne pieprzyki, tzw. muszki. Zarówno męska, jak i kobieca moda zachodnia w tym czasie wymagała również obfitego pudrowania włosów bądź peruk.

KONTUSIK I JUPKA

Polki coraz śmielej podążały za modnymi nowościami. Niezrażone ostrą krytyką sarmackich tradycjonalistów, coraz powszechniej odsłaniały dekolty i przedramiona, a także włosy – choć chętnie nosiły kupowane w Warszawie niewielkie muślinowe czepczki zdobione wstążkami i koronkami, tzw. kornety, spod których widoczna była fryzura z drobnych upudrowanych loczków. W ich garderobie nieodzowne były jedwabne trzewiczki na obcasie, suknie oparte na szerokim stelażu, tzw. rogówce, i usztywniane fiszbinami gorsety, tzw. sznurówki, formujące tułów na kształt idealnego stożka i wypychające piersi ku górze. Jednak ze względu na klimat nadal niezbędne były podbite futrem ciepłe okrycia, których wzoru nie mogła dostarczyć moda francuska. Symbolem kobiecego ubioru polskiego w XVIII wieku stał się noszony na modną suknię kontusik – długie do pól uda ciepłe okrycie wierzchnie, często podszywane futrem i podobnie jak męski kontusz szyte z dekoracyjnie zwisającymi, rozcinanymi rękawami – wylotami. Rozcięcie rękawów, poza efektowną formą, miało też praktyczne uzasadnienie – umożliwiała oswobodzenie rąk po wejściu do budynku bez potrzeby zdejmowania całego okrycia, co w źle ogrzewanych pomieszczeniach nie zawsze było wskazane. Obok kontusika dużą popularnością, głównie wśród mieszczek, cieszyło się inne okrycie wierzchnie – tzw. jupka, szyta często z pięknych wzorzystych jedwabi i noszona do spódnicy i ozdobnego gorsetu przez kobiety, które nie mogły sobie pozwolić na suknie jednoczęściowe o skomplikowanym kroju. Był to krótki, obszerny, krojony kloszowo kaftanik, którego poły zachodziły na siebie ukośnie. Jupki miały zwykle szeroki kołnierz i rękawy za łokieć rozszerzające się ku dołowi. Do stroju zimowego noszono jupki podbite futrem.

W XVIII wieku zmiany w modzie następowały coraz szybciej, stroje nadal były jednak lokatą kapitału, noszono je bardzo długo, często przez kilkadziesiąt lat, dokonując tylko nieznacznych przeróbek i modyfikacji zgodnych z aktualnymi trendami. Dbano o nie, a po latach zapisywano w spadku dzieciom i wnukom, przerabiano na szaty liturgiczne, a jeśli uległy znoszeniu – z resztek tkanin szyto odzież dziecięcą. □